

DOMY PISARZY

MARZENA
MRÓZ-
-BAJON

BULHAKOW

MÁRQUEZ

BERGMAN



MILFOSZ
MIANIN

HEMINGWAY
CAPOTE

WILDE



MARGINESY

COPYRIGHT © BY Marzena Mróz-Bajon
COPYRIGHT © BY Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2021

Filipowi, Henrykowi.

Dla Zuzanny.

Pamiętaj, Tołstoj powiedział o Annie Kareninie jedynie to,
 że była piękna i widziała w ciemności jak kot.
To wszystko, co o niej napisał, aby ją scharakteryzować.
 I najlepiej pokazać jeden gest, cień gałęzi i pozwolić,
 aby umysł stworzył drzewo.

WILLIAM FAULKNER, *Lion in the Garden*

Wstęp. Podążając za mirażem

Stéphane Mallarmé twierdził, że wszystko na świecie istnieje po to, żeby znaleźć się na fotografii. Według Henriego Cartier-Bressona robienie zdjęć to odnajdywanie struktury świata, a Susan Sontag uważała, że fotografię można nawet nazwać cytatem.

To by oznaczało, że zdjęcie niesie ze sobą literacki komunikat.

Sprawdziłam to. Od kilkunastu lat jestem w drodze, żeby zobaczyć widok z okna domu, w którym urodził się Czesław Miłosz, przekonać się na własne oczy, jak wysoka była stodoła, w której William Faulkner pisał swoje powieści zaopatrzony w butelkę burbona, ujrzeć popołudniowe promienie słońca w mieszkaniu Konstandinosa Kawafisa w Aleksandrii. Dalej! Do hanzeatyckiej Lubeki, po której wąskich uliczkach biegał mały Tomasz Mann, do Rouen – gdzie wciąż stoi dom Gustave’a Flauberta, a pagórki, po których madame Bovary jechała jaskółką do kochanka, mają ten sam co opisywany w powieści fioletoszary odcień. Wdarłam się podstępem do mieszkania Witolda Gombrowicza w Buenos Aires i – całkiem legalnie – do domu Maria Vargasa Llosy w Limie. Aż w końcu dotarłam do wyobrazonego Macondo – wypranego z barw, ale za to pełnego motyli miasteczka Aracataca w Kolumbii, gdzie Gabriel García Márquez stworzył od nowa świat.

Można by pewnie powiedzieć, że uprawiam swojego rodzaju fetyszizm literacki. Odwiedzam domy pisarzy, kładę się do ich łóżek, wącham należące do nich bibeloty. Przeglądam książki w ich bibliotekach, zaglądam do biurka i szaf, najchętniej przyrządziłabym jakieś skomplikowane dania w ich kuchniach, gdybym tylko potrafiła gotować. Od dziecka zafascynowana horyzontem, dopatruję się związku między widokiem z okien a zachowaniem bohaterów literackich wykreowanych w umysłach mieszkańców tych domów. Wreszcie – chodzę na ich groby.

Tym, którzy pytają, dlaczego porzuciłam złudny domowy porządek i podążyłam za mirażem – odpowiadam za Márquezem: „Wszystko, czym jestem, wzięło się z tamtej podróży”.



Nobelio premijos laureato
rašytojo profesoriaus
CZESŁAWO MIŁOSZO
gimtinė

W Dolinie Issy

Osobliwością doliny Issy jest większa
niż gdzie indziej ilość diabłów.

CZESŁAW MIŁOSZ, *Dolina Issy*

Dom Czesława Miłosza

Szetejnie nad rzeką Niewiażą, powiat kowieński, Litwa
TRASA: Wilno–Opitołoki–Szetejnie–Świętobrość, Litwa

Było już po piątej. Lekko przygarbione kobiety ubrane w kolorowe odświętne stroje zmierzały w kierunku Ostrej Bramy. W świetle zachodzącego słońca ich cienie nie tylko wydłużały się, ale wręcz łączyły ze sobą i ten widok przypominał mi zdjęcie, które zrobiłam przed laty przez okno Kolei Transsyberyjskiej powoli jadącej przez pustynię Gobi. Wagony rzucały cień na żółty piasek bezkresu, a dzikie konie szły – jeden za drugim – w pewnym, sobie tylko znanym porządku. Harmonia cieni i ruch postaci idealnie ze sobą współgrających. Kadr uchwycony, sekunda, która nie powtórzy się już nigdy. Moment zastygły w pamięci, żeby dać o sobie znać, kiedy będzie trzeba.

Obserwowałam kobiety z okna hotelowego pokoju. Szły coraz szybciej, a kiedy zaczęły biec, wyszłam na zewnątrz i ruszyłam za nimi. Wilno, ta barokowa szkatuła, otwierało się przede mną powoli. Najpierw gęsta sieć wąskich ulic i tajemniczych zaułków, przy których wyrastają fasady pałaców, a tuż przy Ostrej Bramie docieramy do nocnych klubów i – najdroższego na Litwie – salonu Diora. Kobiety



nawet nie spojrzały na najnowsze stroje *haute couture* krawca z Paryża – ruszyły po schodach do świętego obrazu, pewnie po to, żeby podziękować albo poprosić o coś, co niemożliwe.

Ja poszłam dalej. Chciałam dojść przed zmrokiem do kościoła Świętej Anny, którego misterne rzeźbienia wykonane w stylu gotyku promienistego zrobiły duże wrażenie na Napoleonie Bonapartem, a jeszcze większe na małym Czesławie Miłoszu, który przeprowadził się z rodzicami do Wilna w 1921 roku. Co wtedy oglądał wrażliwy dziesięcioletni chłopiec, co wzbudziło jego podziw? Uroda kościołów i... kino. Wspominał filmy z Gretą Garbo, które oglądał w Wilnie z ogromnym przejęciem. Aktorka długo pozostawała jego erotycznym ideałem.

Początek maja w Wilnie to zwykle piękny czas, ale tym razem nie był. Mocno już padało, kiedy przechodziłam koło sklepu z antykami. Na wystawie, oprócz Biblii Wujka i aniołów, jeszcze do niedawna zdołałych litewskie kaplice, zobaczyłam przedmiot, który w tym miejscu wydał mi się dziwny i kompletnie zbędny. Śmigło starego samolotu, proste, długie, stojące koło świątka. Kupiłam je, nie zwracając uwagi na cenę. Kiedy wieczorem dotarłam przed dom przy ulicy Pakalnės 5 (dawniej ulica Podgórska), w którym w 1921 roku zamieszkał mały Czesław z rodziną, niosłam je przewieszane przez ramię jak nartę.

Decyzję o przeprowadzce do Wilna podjął ojciec Czesława, Aleksander – inżynier podróżujący po świecie i, co niekiedy imponowało jego synowi, myśliwy z powołania. Miłoszowie zameldowali się w mieszkaniu pod numerem 2. Dom, który stoi tam do dziś, jest niepozorny i nie ma wcale ciekawego widoku. Można sobie wyobrazić, jak czuł się w nim poeta, który dzieciństwo spędził na bezkresnych polach Żmudzi.

Taksówkarz, który wiozł mnie w nocy na ulicę Liejyklos 1 (dawniej Ludwisarska), podejrzliwie przyglądał się mojemu bagażowi, ale w końcu włożył śmigło do samochodu i nie przejął się tym, że nie może zamknąć bagażnika. Twierdził, że dobrze zna podany przeze mnie adres.

– W barze na dole mają dobre piwo.

Zahamowaliśmy przed klasyczną, wyremontowaną kamienicą. Tu porzuciłam śmigło oraz kierowcę i poszłam w dół ulicy, szlakiem Miłosza, który pisał: „Ludwisarska to schodzenie. Mnóstwo razy, niezliczoną ilość razy, w ciągu wielu lat, bo mieszkiałem prawie zawsze w nowszej części miasta, a więc za ulicami Zawalną i Wileńską, a właśnie Ludwisarska prowadziła stamtąd do placu Napoleona i dalej, do uniwersytetu”.

W zrobieniu nocnych zdjęć przeszkodziła mi burza, która właśnie rozpętała się nad Wilnem. Strugi deszczu płynęły ulicami, a mokre śmigło wydawało mi się jeszcze cięższe, kiedy wносиłam je, już po północy, do hotelowego pokoju.

Od czasu do czasu zdarza się taki poranek niespodzianka. Po zimnym tygodniu i burzy poprzedniej nocy ciemne niebo pęka, a dzień kapryśnie wypogadza się. Wyruszyłam z Wilna o świcie, jak zawsze bez śniadania, z fragmentem starego samolotu abstrakcyjnie wystającym przez szybę auta. Po obu stronach migały lasy i pola Litwy, bezkresne i bezludne. Bociany fruwały nisko, a słońce stało najwyżej, jak tylko się da o tej porze roku. Idealny dzień na spotkanie z czasem i porządkiem rzeczy, które minęły.

Po godzinie dotarłam do Opitołoków (lit. Apytalaukis). Tuż przy asfaltowej szosie, zaraz za zakrętem, wyłonił się biały barokowy kościół. Właśnie wychodził z niego mężczyzna z wiązanką sztucznych niebieskich kwiatów. To kościół pod wezwaniem Świętych Piotra i Pawła, wybudowany w 1635 roku, ufundowany przez sędziego żmudzkiego Piotra Szuksztę. To tutaj w lipcu 1911 roku Miłosz został ochrzczony. Budowla, otoczona cmentarzem, jest ciemna i wilgotna. Rzędy starych ławek, na których wryto nazwiska ich fundatorów, pamiętają czasy Miłoszów i Kunatów – dziadków poety. Krypta z grobami Szuksztów i Zawiszów, właścicieli okolicznych dóbr, jest niewielka, ale wciąż dość dobrze zachowana. Przetrwały w niej księgi parafialne z 1911 roku, a wśród nich zapisana po rosyjsku metryka chrztu Czesława Miłosza.

Dziś w Opitołokach stoi niewiele domów, tak jak i przed ponad stu laty. Ale tablica informująca o zabytkowym obiekcie ukrytym ponad



kilometr od drogi asfaltowej kusi, żeby pokonać wertepy. To pałac Zabieliów. Już z daleka widać ozdobne gzymsy i różnorodną oprawę okien tego otoczonego rozległym parkiem budynku.

Kiedy podeszłam do wysokiego, zakończonego kolczastym drutem płotu, po jego drugiej stronie pojawił się idący tanecznym krokiem mężczyzna. Podskakiwał i pląsał, a nawet podśpiewywał, w każdym razie wyglądał na bardzo z życia zadowolonego. Gdy mnie zauważył, zamachał rękami i pobiegł z powrotem w kierunku drzwi do pałacu. Już szukałam furtki, już prawie ją znalazłam... zamkniętą na cztery spusty. Kiedy dziś myślę o tej chwili, jestem niemal pewna, że pałac i otaczający go park zasnuły się wtedy nagle delikatną mgłą. Może przedpołudniowe wciąż jeszcze niebo przysłoniły chmury? Widać już było tylko neorenesansowe kontury budynku i idących z daleka ubranych na biało ludzi. Radośnie zataczali się, zmierzając w moją stronę. Gdy podeszli na tyle blisko, że zobaczyłam ich związane w kaftanach

ręce, nie byłam już pewna, czy chcę, żeby furka do pałacu była otwarta. Miałam przed sobą kilkudziesięciu obłąkanych, wpatrzonych we mnie kobiet i mężczyzn, którzy przywarli do płotu i wyciągali ręce. Zrozumiałam, że wejście do Doliny Issy prowadzi przez dom wariatów. Miłosz podskoczyłby w górę z radości!

Surrealistyczna scena z Opitołoków potwierdza, że w podróży może się zdarzyć wszystko. Poza tym podróż splata się z wydarzeniami z naszego życia i wyjaśnia to, czego na danym jego etapie nie rozumiemy. Uświadomiłam sobie wtedy, że znałam właściciela tego przemienionego w szpital pałacu. Wynajmowałam przed laty mieszkanie od hrabiego Zabiełły. Niewielkie, ale stylowo urządzone antykami, w domu przy ulicy Mackiewicza w Łodzi. Najważniejszym w nim meblem był ogromny fortepian, który podczas hucznych imprez dla dziennikarzy czterech łódzkich redakcji gazet codziennych służył za stół, a w awaryjnych sytuacjach nawet za łóżko. Hrabia Zabiełło odwiedził mnie po jednym z przyjęć, które przeszło do historii pod nazwą „Patisony na fortepianie”, podkreślając główne i jedyne danie serwowane tego wieczoru, nie licząc alkoholu. Usiadł i przez pół godziny nie mówił nic. Sądząc, że bałagan w mieszkaniu jest przyczyną jego milczenia, wyraziłam skruchę i chęć poprawy.

– Nie, nie widzę tu żadnych zniszczeń, nie przepraszaj. Wróciłem właśnie z Litwy. Mieliśmy majątek w Opitołokach, chciałem zobaczyć, co z niego zostało. Nie umiem ci jeszcze tego opowiedzieć.



Do Szetejń (lit. Šeteniai), miejsca, w którym urodził się Czesław Miłosz, prowadzi droga smużąca się pyłem, pełna zakrętów, wzdłuż wysokich drzew. To zielona kraina, tak inna od oddalonych o zaledwie sześć kilometrów Opitołoków, poprzetykana leśnymi jeziorami. Wiosna była deszczowa, stąd błotniste koleiny wśród turkusowych młodych traw i czarnych jeszcze krzewów, ale już zapowiadających żmudzką bujność łąk – tego opisywanego przez Miłosza dostatku lata.



Przede wszystkim – zobaczyć rzekę Niewiażę – miłoszowską Issę! Samochód zaparkowany niemal w szuwarach konsekwentnie zapadał się w mokrej, tłustej jak masło ziemi, a śmigło coraz bardziej wystawało w kierunku nieba. Zbliżało się południe, był czwarty dzień maja, pierwszy ciepły dzień tej wiosny. Okalające rzekę trzciny, wciąż jeszcze suche, bez koloru i wiotkie, ułatwiły mi dostęp nad wodę. Przeszłam, zapadając się po kolana w mokradłach, na sam brzeg.

Dlaczego w powieści była Issa, a nie Niewiaża? Zapytany o to Miłosz twierdził, że wybrał tę nazwę, ponieważ powtarza się ona w różnych krajach Europy. Jej przeciągłe brzmienie bardzo mu się podobało, podobnie jak to, że nazwa ta ma bardzo stare konotacje oraz że równoległą rzeką do Niewiaży jest Dubissa.

Wartka granatowa Niewiaża wydaje się niczym nieograniczona. Jakby ktoś bez przerwy przelewał u jej brzegów wodę z dzbana. Choć

położona na równinie, od razu widać w niej siłę rzeki mającej szczęście płynąć przez wzniesienia nadające wodzie rytm. Nie było chwili nudy, bo wartki nurt unosił gałęzie drzew, słomę i deski, a w wypukłej toni obracały się lejki wirów.

Rzekę otaczała zieleń lasów, w których sosny, świerki, dęby, brzozy, graby właśnie zaczęły odradzać się po mroźnej zimie. Przysiadłam na brzegu, zamknęłam oczy, ale nie na długo, bo zaraz słycać było szczekanie psa i kroki zmierzającego ku brzegowi rzeki człowieka.

Są skłonni do zachowania się ekscentrycznego, dalecy od spokoju, a ich niebieskie oczy, jasne włosy i nieco ociężała budowa są złudnym tylko pozorem nordyckiego zdrowia.

Dolina Issy



I rzeczywiście zaraz miałam przy sobie podskakującego posokowca i jego właściciela – jak się okazało, mieszkającego nieopodal myśliwego, który wybrał się tego dnia na kuropatwy. Opis postaci się zgadzał. Potężny blondyn i strzelba potwierdzająca ekstremalne upodobania. Przywitał mnie krótkim *hi* i płynną angielszczyzną opowiedział o swoich planach względem okolicznej zwierzyny. Nie pozostałam mu dłużna, wyjęłam swoją broń – aparat, i każde z nas zajęło się bez słowa swoją pasją.

Czy widok z okna domu rodzinnego może zdeterminować nasz los? Jaki wpływ ma na nas miejsce, w którym spędzamy radosne lub trudne dzieciństwo?

„Mimo że zbierałem obrazy ziemi w wielu krajach na dwóch kontynentach, moja wyobraźnia nie mogła z nimi sobie poradzić inaczej, niż wyznaczając im miejsce na południe, na północ, na wschód i na zachód od drzew i pagórków jednego powiatu” – pisał Miłosz.

Uważał Szetejnie za swój prywatny dziecięcy raj, miejsce, w którym po raz pierwszy poczuł, zobaczył, doznał. Zarówno przedsiębiorcza



matka Weronika Miłoszowa, ucząca dzieci chłopów z okolicznych wiosek języka polskiego, jak i ekscentryczna babka Józefa z Syruciów, nic sobie nierobiąca z konwenansów, niechętnie przyjmująca w domu gości, egoistyczna, ale – zdaje się – również natchniona, oraz prawy, mądry dziadek Zygmunt Kunat mieli na Czesława duży wpływ.

Kochałem się w małpce uszytej z gałganków. W wiewiórcie z dykty. W botanicznym atlasie. W wildze. W łasicy.

Piesek przydrożny



Dwór w Szetejniach został zbudowany w XVIII wieku, a rozkwitł za czasów pradziadka Czesława Miłosza, Szymona Syrucia. To on wypozażył dom, założył bibliotekę, posadził dęby i lipy w alejach parku. Jak pisze Andrzej Franaszek w biografii Miłosza, ganek z kolumnkami prowadził do przedsiönka, gdzie na płachtach suszyły się nasiona, i dalej do sieni.

W dwóch salonach z wywoskowanymi podłogami i fortepianem przyjmowano gości. Na ścianie wisiał sztych Henryka Siemiradzkiego *Pochodnie Nerona*. Po drugiej stronie znajdowały się: jadalnia, gdzie na ceratowej kanapie chłopiec czytał książki, kuchnia, pokój gościnny, biblioteka i pomieszczenie zwane apteczką. „Apteka była najbardziej magicznym pokojem. Boże święty! Mnie się wydaje teraz, że cała moja poezja wzięła się z apteczki” – wspominał po latach Miłosz.

Ściany tego pokoju zajmowały małe i duże szuflady. Było w nim też jedno takie miejsce, rodzaj lady na szufladach, gdzie zwykle stała pułapka na myszy składająca się z pochylni i rezerwuaru wody. Na półkach znajdowały się rozmaite miedziane garnuszki w cudownym złotym kolorze *vermeille*, a w tych szufladach mieściły się ingrediencje, zapachy, imbiry.

Obok była biblioteka, której ściany pomalowano olejną farbą. Pokój był tak zimny, że kiedy na dworze panował upał, tam się przyjemnie

dygotało. W dorosłym życiu Miłosz przyznał, że znaczna część jego wierszy powstała pod wpływem ilustracji, rysunków i obrazów oraz książek, które znajdował w bibliotece dziadka, będąc małym chłopcem. Były wśród nich *Tragedie* Szekspira, ale też takie pozycje jak *Ogrody północne* czy *Zielnik ekonomiczno-techniczny, czyli opisanie drzew, krzewów i roślin dziko rosnących w kraju, jako też przyswojonych [...]*.

W domu dziadków suszono zbierane w lasach grzyby, robiono konfitury z jarzębiny, przechowywano gruszek i jabłka, których gatunki – cukrowki, sapieżanki, bergamoty – dziś nie kojarzą nam się już z żadnym smakiem. Tuż przy białym dworze stał osobny budynek dla służby, w którym mieściły się stajnia, wozownia, izba czeladna i stancja ekonoma Szatybełki. Szczęśliwa prowincja, z której do Wilna trzeba było jechać bryką dobre trzy dni.

Dolinę Issy, która najwięcej opowiada o okolicach Szetejni sprzed ponad stu lat, Miłosz zaczął pisać późną jesienią 1953 roku w Bon nad Lemanem, a zakończył wiosną 1954 roku w Brie-Comte-Robert pod Paryżem. Przez lata twierdził, że jest to jedyna powieść, jaką napisał. Książka niewątpliwie powstała z potrzeby odtworzenia domu dzieciństwa. Pisarz emigrant, czas i przestrzeń, to, co terażniejsze, i to, co utracone – splatają się w niej ze sobą i nakładają na siebie. Ginie to Szetejnie i Świętobrość, Tomasz to Czesław, a babcia Kunatowa jest tu nazwana Misią. Ta arkadia litewska, mikrokosmos nad Niewiażą były przyczynkiem do napisania utworu o swoich początkach, naturze, dojrzewaniu, nieodgadnionych siłach, tym, co przeminęło.

„*Dolinę Issy* napisałem jako zabieg autoterapii po to, żeby spróbować, czy nie otworzy się zamknięta wena poetycka” – twierdził Miłosz. „Byłem wtedy w okropnym stanie, czego w książce nie widać” (*Czesława Miłosza autoportret przekorny. Rozmowy z Aleksandrem Fiutem*).

Szetejnie Miłosza opisywane we wspomnieniach i w *Dolinie Issy* można sobie już tylko wyobrazić. Dom jego dzieciństwa został spalony, a ogród – wycięty. Jako jedyny przetrwał zagładę – dwie wojny, ale przede wszystkim powojenną komunistyczną kolektywizację – budynek szkoły



w Szetelniach. Dwór Kunatów i okoliczne wioski zrównano z ziemią. Jedyne, co pozostało, to odbudowany na przełomie XX i XXI wieku spichlerz zwany „świronkiem”, w którym mieści się dziś Fundacja Miejsc Rodzinnych Czesława Miłosa.

Obok – leśne jeziorko otoczone wysokimi drzewami, a w dali ciemna linia lasu. Smukłe jesiony przegładają się w oku wody, rysując kształt na jego tafli. Przy zielonym murze, tak jak przed laty, pachnie mchem i cząbrem, a duże rude mrówki zbudowały kopiec i kásają obcych, ciekawych ich życia.

Życie toczy się dalej, już z zamorskich podróży powróciły bociany, jaskółki. Słychać bulgot cietrzewi, którym ustąpiły miejsca gile i kolorowe dzięcioły, aby patrzeć, jak szerszenie i osy będą spijać słodycz z lipcowych gruszek, a pszczoły zbierać ciemny miód z gryki, koniczyn i leśnych łąk.

Czas oszczędza przyrodę, dodając jej kolorów i nowych kształtów. Te same co przed stu laty drzewa, lecz oczywiście większe, krzewy

leszczyny, bzu i jarzębiny, które lubił, pamiętał i opisywał przez całe życie Miłosz – były w zasięgu mojego wzroku. Spotkałam tam tylko jednego człowieka. Kiedy zapytałam go po rosyjsku, gdzie kiedyś stał dwór Kunatów – pokazał ręką na nieodległe leśne jezioro.

Issa jest czarna, głęboka, o leniwym prądzie, szczelnie obrosta łożyną, jej powierzchnia miejscami jest ledwie widoczna pod liśćmi lilii wodnych, wije się po łąkach, a pola, rozłożone na łagodnych zboczach po obu jej stronach, mają glebę urodzajną.

Dolina Issy

Te okolice Europy długo były pokryte lodowcem i jest w ich krajobrazie surowość północy. Ziemia jest tu na ogół piaszczysta i kamienista, zdatna pod uprawę tylko kartofli, żyta, owsa i lnu. Tym tłumaczy się, że człowiek nie zniszczył tu lasów, które łagodzą nieco klimat i chronią od wiatrów Bałtyckiego Morza.

Dolina Issy

Wchodziłem w oszałamiającą zieleń, w chóry ptaków, w sady uginające się od owoców, w czarodziejstwo rodzinnej rzeki, tak niepodobnej do nieograniczonych niczym, posępnych rzek wschodniej równiny.

Rodzina Europa

Jezioro było małe, ale nigdy do niego nie przylegało pole, nie wiodła do niego żadna droga i to stanowiło o jego wartości.

Dolina Issy

Ciepłe deszcze. Po nich na ścieżkach zostają ławice czekoladowego ilitu, w którym ostatnie strumyczki żłobią sobie przejścia. Stawia się stopę i wtedy spomiędzy palców wyłazi miękkie ciasto. A potem woda napełnia wgłębienie wyciśnięte piętą.

Dolina Issy



Szetejnie od Świętobrości (lit. Šventybrastis) dzieli w XXI wieku zaledwie chwila. Droga wąska, nieutwardzona, pnąca się pod górę, prowadzi pod sam kościół. Świątynia Przemienienia Pańskiego, w której ślub wzięli rodzice Miłozsa, została zbudowana w 1774 roku. Żółta, drewniana, usytuowana centralnie na zalanej słońcem polanie, ma w sobie więcej pogańskiej radości niż katolickiego dostojęstwa. Klezcząc na zimnej posadzce kościoła w Świętobrości, trudno o skupienie. Wzrok błądzi po ścianach, pewnie za światłem igrającym w kolorach witraży. Tuż obok jest stary cmentarz; pod rozłożystym drzewem można zobaczyć grób pradziadka Czesława Miłozsa – Szymona Syrucia (1807–1870). Na nagrobku widnieje wyryty blisko sto pięćdziesiąt lat temu napis: „Mąż dla najlepszej żony Eufrozyny z hrabiów Kossakowskich Szymonowej Skiruciovej”.

Ale najpiękniejsze jest wzniesienie tuż za kościołem, który według lokalnych przekazów powstał w miejscu kultu boga piorunów. Na porośniętym świeżą trawą pagórku stoją stare drewniane kapliczki niezwykłej urody. Prawdziwe.

W pełnej słońca Świętobrości w maju wszystko wydawało się możliwe. Bóg burzy i wojny Perkun i patronka wiedźm Laumė, która w mitologii bałtyjskiej uchodzi za boginię narodzin i ziemi, a także losu przydzielonego każdemu człowiekowi, mogliby zatańczyć razem na bujnej nadrzecznej łące, niewidzialni dla nikogo.





Kiedy już w Warszawie, w kawiarni Czytelnik, przy stoliku mojego przyjaciela Henryka Berezy, krytyka literackiego i poety, zdawałam relację z tej wyprawy, on najbardziej zareagował na zdjęcia kapliczek ze Świętobrości. „W takim miejscu mogłyby się rozgrywać *Dziady*” – stwierdził i wypił kolejny kieliszek litewskiej nalewki z namalowanym na etykiecie czerwonym sercem, którą mu przywiozłam z podróży.

Po chwili przyjrzał się zdjęciu uważniej i zapytał zdziwiony: „Ale co, do cholery, robi tam to śmigło?”.

Ginie to przede wszystkim góra zarosła dębami. W tym, że zbudowano na niej drewniany kościół, kryje się intencja wroga dawnej religii albo, być może, chęć przejścia od dawnej do nowej bez wstrząsów: na tym miejscu odprawiali kiedyś swoje obrzędy ofiarnicy boga piorunów.

Dolina Issy

Rolnicy nad Issą stawiali na progu chaty miseczkę z mlekiem dla łagodnych wężów wodnych, które nie bały się ludzi. Potem stali się gorliwymi katolikami i obecność diabłów przypominała im o walce, jaka się toczy o ostateczne panowanie nad duszą ludzką. Czy staną się jutro?

Dolina Issy

Kościół, stojący na miejscu kultu boga piorunów, jest na Boże Ciało ozdobiony girlandami z liści dębów i klonów.

Dolina Issy



مقر اليونان
المه لثاني
متحف كفافيس
في أ. الم. ج. س.

ΤΟ ΣΠΙΤΙ ΤΟΥ ΚΑΒΑΦΗ
2^{ος} όροφος
CAVAFIS' HOUSE
2nd floor
منزل كفافيس
الدور الثاني



Zakosztowali właśnie zakazanej rozkoszy

Nie znajdziesz nowych miejsc, nad inne morze nie dotrzesz.

Miasto pójdzie za tobą.

KONSTANDINOS KAWAFIS, *Miasto*

Dom Konstandinosa Kawafisa

Aleksandria, Egipt

TRASA: Kair–Giza–Aleksandria, Egipt

– Pokażę ci piramidy, potem Wielkiego Sfinksa. Pojedziemy do Luk-soru i Karnaku, zobaczysz świątynię w Abu Simbel i grobowiec królowej Hatszepsut – recytował na jednym wdechu mój egipski przewodnik.

– Chcę zobaczyć Aleksandrię.

– Aleksandria to nie Egipt. – Bram de Tolk, certyfikowany *guide* uchodzący za jednego z najlepszych w swoim fachu w całym Kairze, nie dawał za wygraną. – Co chcesz zobaczyć w mieście, które z naszym krajem tak niewiele ma wspólnego?

- Chcę pochodzić po bulwarach nad Morzem Śródziemnym.
- Równie dobrze możesz pospacerować po Marsylii.
- Powłóczyć się po zaułkach w centrum miasta, wypić kawę w jednej ze starych kawiarni...
- Nie znajdziesz tam nic ciekawego. Aleksandria jest brudna, biedna i póki co bez przyszłości.
- A Biblioteka Aleksandryjska? – zapytałam chytrze.
- Wielka rzecz, ale nie wierzę, że przyjechałaś do Egiptu, żeby siedzieć w bibliotece.
- Przyjechałam, żeby zobaczyć dom Kawafisa.
- Okej, pojedziemy tam jutro, ale najpierw pokłonimy się Sfinksowi.



„Chwała Cheopsowi, Chefrenowi i Mykerinosowi za tak śmiałą wizję stworzenia!” – to była mantra Brama na początek tego dnia.

Piąta rano, wstawał grudniowy, nieupalny dzień. Przejechaliśmy z Bramem do Gizy, żeby – jak mu obiecałam – stanąć przed Sfinksem.

Zawsze kiedy widzę to tajemnicze stworzenie z niewyraźną głową lwa, wzrusza mnie, że jest on tak mały i kruchy w obliczu potężnych piramid. Ma zaledwie 20 metrów wysokości. Wiele lat temu zrobiłam zdjęcie mojej biegnącej koło Sfinksa córce i nazwałam je *Czas*. Niewzruszony posąg i pędzące przed siebie dziecko są dla mnie definicją tego, co nieuchronnie przemija, a jednocześnie trwa. Dlatego i tym razem chciałam zobaczyć tę wykutą w wapiennej skale z inicjatywy faraona Chefrena rzeźbę. Moja córka Zuzanna jest dziś dorosła, choć na zdjęciu na zawsze pozostanie dziewczynką ścigającą się z wiecznością.

Otoczenie wokół Sfinksa bardzo się w ostatnich latach zmieniło. Dzieci nie mogą już swobodnie biegać koło posągu, teren został ogrodzony, a turyści oglądają dziś Sfinksa i piramidy z atrakcyjnie położonej platformy widokowej. Nie tylko upłynął *Czas*, ale również ograniczono dostępną wokół przestrzeń. Perspektywa, z której ktoś nakazał nam tego dnia patrzeć na skarby Gizy, jest – trzeba przyznać – idealna. Ale



my jej nie wybraliśmy, została nam narzucona. Jak widzowie w teatrze, którzy kupili bilet w najlepszej łoży i zostali do niej doprowadzeni, tracąc tym samym możliwość spojrzenia na przedstawienie z własnej perspektywy. Tak trochę z boku, z ukosa, pod kątem, zza kulis, żeby zobaczyć coś brudnego, coś pięknego, element niepasujący do całości, który uruchomi wyobraźnię. Bo ideał to przecież nie jest najlepsze rozwiązanie.



Dojazd autostradą z Kairu do oddalonej o niespełna dwieście kilometrów Aleksandrii zajmuje ponad cztery godziny. Z radia wylewały się wiadomości na temat niedawnego zamachu w koptyjskim kościele pod wezwaniem Świętych Piotra i Pawła. Ta zbrodnia pochłonęła wiele ofiar, przede wszystkim uczestniczące w mszy kobiety. Bram tłumaczył mi z arabskiego napływające wiadomości – na początku z wielkim zaangażowaniem – aż w końcu zamilkł. Jego energia wyczerpała się. W ciszy mijaliśmy pustynne ugory, ale też oazy otoczone palmami. Nie chcieliśmy się zatrzymywać po drodze. Postanowiliśmy dojechać do Aleksandrii najszybciej, jak tylko się da.

– Najpierw Biblioteka Aleksandryjska czy od razu szukamy domu Kawafisa?

– Droga do domu Kawafisa prowadzi przez bibliotekę.

Decyzja okazała się słuszna. Podjechaliśmy jak najbliżej gigantycznego nowoczesnego budynku. Fasada Biblioteki Aleksandryjskiej jest wykonana z asuańskiego granitu, na którym widnieje 120 starożytnych i współczesnych alfabetów. Bryła ma biały kolor, ale tylko na zewnątrz. W środku fani książek zanurzają się w przestrzeni z kolorowego szkła – zielonego i niebieskiego. Barwy te mają nawiązywać do spuścizny śródziemnomorskiej – turkusowego morza i błękitnego nieba. Tych dwóch wielkich muz twórców z regionu kultury *mediteraneo*.

W wijącej się kilkaset metrów kolejce przed wejściem stoją przede wszystkim młode dziewczyny, muzułmanki w hidżabach, chimarach,



czadorach. Rozmawiają, śmieją się. Czekają. W końcu wchodzi do składającej się z jedenastu poziomów biblioteki w kształcie przechylnego bębna.

W gmachu przypominającym szeroki, ścięty cylinder znajdują się największe czytelnie. Cztery najniższe kondygnacje ukryte są pod ziemią i tam przechowywanych jest osiem milionów książek. Biblioteka posiada też duże zbiory rzadkich map i woluminów. Najstarsza napisana w języku arabskim książka pochodzi z 1496 roku.

Stoję w kolejce, która bardzo szybko posuwa się naprzód, i po chwili wsiadam do jednej z 17 wind. Zwiedzanie biblioteki – niejako repliki tej założonej przez Ptolemeusza I Sotera w III wieku p.n.e. – traktuję jako wstęp do spotkania z Kawafisem, którego lapidarne, skrótowe, a jednocześnie nastrojowe i pełne namiętności wiersze towarzyszą mi od lat.

Aleksandria, jedno z najstarszych miast na świecie, o której apostołowie wspominają w Nowym Testamencie, miejsce, w którym przepłatają się trzy kultury: egipska, grecka i rzymska, została założona w IV wieku p.n.e. na ruinach miasta Rakotis. Tu tworzyli Filon Aleksandryjski i Plotyn, tu mieszkali Archimedes i Euklides. Dziś to metropolia nad morzem. Niedostatnia, omijana przez turystów i opuszczona przez zamożnych mieszkańców, ale wciąż widać jej dawną świetność i urodę. Najpiękniejsze domy, hotele i restauracje znajdują się przy bulwarze El-Gaish ciągnącym się niemal przez całe miasto. A raczej – znajdowały się. Bo dziś w Aleksandrii nie ma oczywistego piękna. Widzimy zarysy, kontury, kształty budynków i miejsc, które mogły zachwycać. Teraz zaniedbane, robią wrażenie odległych.

Zatrzymujemy się na bulwarze, żeby zrobić zdjęcia i napić się bardzo mocnej kawy. Morze z tej perspektywy wygląda na spokojne, ale – jak twierdzi Bram – zdarzają się sztormy potrafiące rozbijać falochrony. Idziemy słoneczną stroną deptaku rozciągającego się wzdłuż zatoki, po którym Kawafis spacerował kilka razy w tygodniu. Kiedy jednak zbliżamy się o dosłownie kilkadziesiąt metrów w kierunku centrum

miasta, świat się zmienia. Uliczki są wąskie, gdzieniegdzie widać bary z lichymi stolikami, przy których mężczyźni piją herbatę i oganiają się od zdobywających tę przestrzeń kotów. Tuż obok meczet, o czym daje znak śpiew muezina, przecnicę za nim – synagoga, a dalej – kościół koptyjski.

– Wiesz, przy najlepszej pogodzie z nadbrzeża Aleksandrii można przez lornetkę zobaczyć Kretę – mówi Bram, ale widzi, że nie bardzo mu wierzę.

Jadąc w kierunku Szarm el-Szejk, mam wrażenie, że kręcimy się w kółko. Wpadamy w kolejny tego dnia korek, więc decydujemy się porzucić samochód i dalej idziemy pieszo. Dom, w którym mieszkał Kawafis, jakby stylowo – bo idealnie – zaniedbany, jest jedną z tych monumentalnych aleksandryjskich kamienic pamiętających świetność XIX wieku, dotkniętych patyną upływających trudnych lat.

– Wejście na drugie piętro, drzwi po lewej stronie, te solidne, brązowe – instruuje nas napotkany na ulicy mężczyzna. Kiedy nacisnęłam dzwonek, w jednej chwili otworzyły się drzwi mieszkania Kawafisa i te po przeciwnej stronie. Starsza kobieta w niebieskiej sukience wyjrzała przez szparę, jakby oczekując odwiedzin, jednak po chwili wycofała się, a drzwi głośno zaryglowała. Pomyśleć, że wciąż można być sąsiadką Kawafisa...

Mieszkanie autora *Barbarzyńców* jest niewielkie. Składa się z czterech pokoi, kuchni, łazienki. Grube mury obiecują latem cień, a przez cały rok panuje tu przyjemny półmrok. Ściany pomalowano przed laty na żółty kolor, więc cienie rolet układające się po południu na jasnej barwie dają efekt magiczny, o którym myślimy, wyobrażając sobie Aleksandrię zimą w północnym kraju.

Mohamed, który opiekuje się tym miejscem, nazywanym przez siebie „małym muzeum”, uśmiecha się, przechylając głowę. Jego włosy, o ton za ciemne, żeby mogły być naturalne, idealnie przylegają do wysokiego czoła. Bardzo chce opowiadać o poecie, którego nie znał, ale jak twierdzi – teraz już wielbi. Ja jednak wolę najpierw pochodzić

po mieszkaniu sama, bez słów, uzyskawszy wcześniej od Mohameda zgodę na robienie zdjęć.

– Możesz fotografować, co tylko chcesz – oznajmił, kiedy dałam mu niewielki napiwek, odbierając wypisany ręcznie na papierze w linie muzealny bilet.

– A usiąść przy biurku można?

– Nawet na łóżku. Pozwalam ci, *no problem*.

Skoro *no problem*, to położyłam się na dość szerokim, ale krótkim łóżku Kawafisa, wyraźnie zarwanym, a przez to jakim wygodnym. Nawet na chwilę zamknęłam oczy, po czym szybko je otworzyłam, wyobrażając sobie, że budzę się tu po przespanej nocy i chwytam ten pierwszy widok, ułamek rzeczywistości, której Kawafis doświadczał.

W sypialni znajduje się dziś nie tylko niskie łóżko z wezglowiem, ale również szafka nocna i lustro. Pokój jest ciemny, wysoki, o dziwo – przytulny. Najbardziej mrocznym i nastrojowym pomieszczeniem w całym mieszkaniu jest jednak przedpokój. Tu, na regale z książkami, ktoś położył maskę pośmiertną poety, nieco przerażającą, bo z wyraźnie stężonym wyrazem. Naprzeciwko – kamienne popiersie w otoczeniu starych, wypalonych świec i lamp naftowych. Zdaniem Mohameda mieszkanie nie zmieniło się wcale od śmierci poety. Nawet wypalone świece, porozstawiane po całym domu, zostały ponoć osadzone w lich-tarzach ręką Kawafisa.

Również kolory ścian pozostały te same: żółte i turkusowe, z ciemniejszą lamperią dookoła.

Stare masywne meble z palisandru, regały pełne greckich i arabskich książek, półki, na których leżą wydane przekłady wierszy poety, szkice, grafiki, portrety. W gabinecie stoi ażurowe, delikatnej konstrukcji biurko i fotel, który można by nawet nazwać tronem. To przy nim pisał.

W salonie, blisko okna, postawiono trzy wazy – stare amfory z wyraźnymi śladami muszli. Mohamed objaśnia, że to jedyne cenne przedmioty w mieszkaniu. Zostały wyłowione z zatopionego przed tysiącem lat greckiego statku. Spod chropowatej struktury, która z początku wydaje





się sztuczna, wyłania się misternie tkany przez morze kształt. Ponoć Kawafis kupił je na początku XX wieku i traktował jako źródło weny.

Usiadłam na krześle w wąskim, mrocznym przedpokoju.

– Możesz tu siedzieć, jak długo chcesz – zapewnia Mohamed. – Nikt ci nie będzie przeszkadzał.

– Nie spodziewasz się dziś odwiedzających?

– Nie. Bo widzisz – statystyka. Ostatni byli tu miesiąc temu. Grecy oczywiście. Przyjechali z Aten.

Wyglądam przez okno. Na dole, pod wysokim drzewem, stoją bezużyteczne meble, tak bardzo zniszczone, jakby zaraz miały się rozpaść. Obok – wrak białego auta. Na górze widać tylko niebo.



Stojąc przy oknie w mieszkaniu Kawafisa, przypominałam sobie jego wiersz *Miasto*.

Powiedziałeś: „Do innego przeniosę się kraju, nad inne morze.
Na pewno jest gdzieś inne, lepsze od tego miasto.
Tu, cokolwiek zrobię, będzie jak zapisany już wyrok.
A moje serce – jak trup – jest pogrzebane.
Jak długo mój umysł będzie tkwił w martwocie.
Gdziekolwiek wzrok odwrócę, na cokolwiek spojrzę,
tu widzę tylko czarne ruiny mego życia,
tu, gdzieś tyle lat spędził, zniszczył je i strwonił”.

Nie znajdziesz nowych miejsc, nad inne morze nie dotrzesz.
Miasto pójdzie za tobą. Po drogach będziesz krążył
tych samych. W tych samych dzielnicach się zestarzejesz,
w tych samych domach posiwieją ci włosy.
Zawsze do tego samego trafisz miasta. Rzuć nadzieję,
że jest dla ciebie statek w inne strony, albo droga.
Tak, jakeś zrujnował swoje życie tutaj,
w tym ciasnym kącie, zrujnowałeś je wszędzie.

W drzwiach kawiarni

Jakieś słowo, wymówione przez kogoś w pobliżu,
uwagę moją skierowało ku drzwiom kawiarni.
I ujrzałem tam ciało tak piękne,
Jak gdyby stworzył je Eros najwyższym swym kunsztem:
formując członki pełne harmonii i wdzięku,
wzrost posągowy nadając postaci,
ze wzruszeniem modelując twarz,
ślad emocji swych dłoni zostawiając
na czole, na oczach, na wargach.

Pewnej nocy

To był pokój biedny i obskurny,
ukryty gdzieś pod dachem podejrzanej knajpy.
Z okna widać było zaufek
brudny i wąski. Z dołu
dobiegały głosy jakichś robotników
zajętych grą w karty, rozbawionych.

Tam, na pospolitym, nędznym łóżku,
miłośnie posiadałem ciało, wargi
pojące rozkoszą, szkarłatne –
tak szkarłatne i upajające, że dziś nawet,
gdy to piszę – po tylu już latach!,
w tym moim pustym domu, znów jestem pijany.



Grób Jasisa

Tu leżę; jestem Jasis. Kąpałem się w stawie
najpiękniejszego z efebów w naszym wielkim mieście;
podziwiali mnie mędracy, lecz też głupia gawieź,
za chwalby dziękowałem jednym i drugim. Lecz wreszcie,

łechtany nad miarę, żem niby nowy Hermes czy Narcyz,
w rozpustę wpadłem i nałogi – i to mnie zabiło.
Jeśliś, wędrowcze, z Aleksandrii, nie sądz mnie. Wystarczy,
że wiesz, jaką moc w naszym życiu ma rozkosz i miłość.

Na śmierć Ammonisa

Rafaelu, proszę cię, byś złożył
kilkuwierszowe epitafium dla Ammonisa, poety.
Parę słów ładnych i zgrabnie dobranych;
zręczny jesteś, potrafisz coś takiego napisać,
co będzie pasować do Ammonisa, jednego z nas.

Powiesz, rzecz jasna, coś o jego wierszach,
ale też powiedz o jego urodzie,
o tej subtelnej urodzie, którą kochaliśmy.

Twoja greka jest zawsze piękna i śpiewna.
Teraz jednak chcemy, byś użył całej swej sztuki.
Naszą miłość, nasz żal w obcej mają wyrazić się mowie.
W obcej mowie twa egipska wrażliwość ma zabrzmieć.

Rafaelu, swoje wiersze tak złożyć się staraj,
aby w nich zawrzeć – sam to wiesz – coś z naszego życia,

by ich rytm objawiał, a też każda fraza,
Że to Aleksandryjczyk pisze dla Aleksandryjczyka.

Pod domem

Wczoraj, wędrując odległym przedmieściem,
pod dom trafiłem, w którym kiedyś
bywałem jako człowiek bardzo młody.
Tam Eros me ciało zagarnął
z właściwą sobie, osobliwą mocą.

I wczoraj,
kiedym podążał starą, znaną mi ulicą,
nagle pod czarem miłości wszystko wypiękniało:
sklepy, trotuary, kamienie bruku,
mury, balkony i okna;
znika wszelka, najmniejsza brzydota.

A gdy tak stałem, wpatrując się w bramę,
i stałem, i zmierzchało się pod tym domem,
przejęło dreszczem całe me jestestwo
doznanie tamtej, pilnie strzeżonej rozkoszy.

Słońce popołudnia

Ten pokój – jak dobrze go znam.
Teraz go odnajdują, razem z tym przyległym,
na biura handlowe. Cały dom
przekształcono w biura maklerów, kupców, spółek.

Ale wiem dobrze, gdzie ten pokój jest.



Kanapa stała tu, przy drzwiach,
przed nią turecki dywan,
obok zaś półka z dwoma żółtymi wazonami.
Po prawej – nie, naprzeciwko – szafa z lustrem.
Na środku stół, przy którym pisał,
i trzy duże wyplatane krzesła.
Pod oknem stało łóżko,
na którym kochaliśmy się tyle razy.

Biedne stare sprzęty – chyba gdzieś tam jeszcze są.

Pod oknem stało łóżko,
słońce popołudnia oświetlało je do połowy.

...O czwartej po południu rozstaliśmy się
tylko na tydzień... Niestety,
ten tydzień rozciągnął się w wieczność.

Ze szkoły renomowanego filozofa

Przez dwa lata był uczniem Ammonisa Sakkasa,
lecz znudziła go i filozofia, i Sakkas.

Później wszedł do polityki.
Ale ją rzucił. Podprefekt był to dureń,
a w otoczeniu miał samych wyniosłych, nadętych bałwanów,
mówiących haniebną zaiste greką. Co za nędza!

Jego uwagę na krótko przykuł
Kościół; zamierzał się ochrzcić
i przejść na chrystianizm. Ale wkrótce



مَسْجِدُ النَّبِيِّ

محمد

١٩٩١

LIGHTS

rozmyślił się; z pewnością by to pogorszyło jego stosunki z rodzicami, przykładnie pogańskimi; natychmiast przestaliby mu wyplacać – okropność! – stałą i nader hojną pensję.

Coś jednak trzeba było robić. Więc stał się bywalcem wszelkich zepsutych środowisk Aleksandrii, wszystkich tajemnych jej jaskiń rozpusty.

Los łaskawie mu sprzyjał:
dał mu wybitną cielesną urodę,
a on cieszył się tym boskim darem.

Jeszcze co najmniej przez lat dziesięć
piękność swą zachowa. A później
może znów przystanie do Sakkasa.
Jeśli zaś tymczasem zemrze się starcowi,
do innego pójdzie filozofa lub sofistę;
zawsze trafi się ktoś odpowiedni.

W końcu zresztą zawsze będzie mógł
powrócić do polityki – chwalebnie pomny
tradycji rodzinnej, tudzież powinności
wobec ojczyzny, itp. wzniosłych frazesów.

Siedząc na niewygodnym krześle w mieszkaniu Konstandinosa Kawafisa, Greka piszącego wiersze w języku przodków, wyobrażałam sobie jego życie w Aleksandrii. Kilka lat dzieciństwa i wczesną młodość spędził w Anglii, w Liverpoolu, ale po śmierci ojca, zamożnego kupca, gdy rodzinie groziła bieda, matka Karikleia podjęła decyzję o powrocie wraz z siódmką synów do rodzinnej Aleksandrii. Konstandinos jest najmłodszy, to jej oczko w głowie, ostatni syn zamiast długo

oczekiwanej córki. Rodzina, zachowując pozory dawnej świetności, chcąc zachować resztki pozycji w swojej klasie, popada w skrzętnie ukrywane ubóstwo. Bieda i homoseksualizm – przez całe życie Kawafis będzie próbował je ukryć.

Znał starogrecki, nowogrecki, łacinę, arabski, angielski, francuski i włoski. Studiował leksykony, analizował stare teksty i przysłuchiwał się ulicznym rozmowom. Potrafił słuchać, wiedział więc, gdzie padają akcenty, te wynikające zarówno z zasad języka, jak i z życia.

W wierszach wyrażał siebie, ale nie artykułował tez. Przedstawiał w nich ulotne chwile czy mający wkrótce nadejść zakręt losu. Klimat Lewantu, charakterystyczna nostalgia, niepokój, niedosyt, a jednocześnie przesyta są w nich obecne, ważne. Lapidarne formy i niedopowiedzenia zobaczyłam również w jego mieszkaniu.

Biografowie Kawafisa piszą, że celem jego poezji było odzyskanie przeszłości. Połączenie tego, co ma miejsce dziś, z tym, co już się wydarzyło.

Co o nim wiemy? Homoseksualista, chrześcijanin, literacki mistrz Eliota, Audena, Brodskiego, Herberta i Miłosza. Jeden z najwybitniejszych poetów XX wieku. Aleksandryjczyk z urodzenia i przekonania uwielbający swoje miasto, a jednocześnie wciąż się z nim wadzący. Kosmopolita.

Pisał wiersze – 154 z 256 utworów uznawał za własny kanon, który jednak opublikowano dopiero po jego śmierci. Kawafis tworzył przez 56 lat. Nietrudno obliczyć, że średnio co roku powstawały zaledwie cztery utwory. Utrwalał w słowie chwile przeszłe, przeżycia, doznania, ulotne wrażenia – niczym stop-klatki.

Tematy jego wierszy dotyczą nas wszystkich. Pisał o namiętności, zagmatwaniu losów, przeznaczeniu, przeszłości i terażniejszości.

Wiersz *Wieczorem* dowodzi, że z bolesnej melancholii wspomnień leczył poetę widok gwarnej aleksandryjskiej ulicy i tłumów przetaczających się przez nią ludzi, których obserwował ze swojego balkonu.

Zresztą trwać to nie mogło; długie lata
doświadczeń to mi mówią. Gdyż niespodziewanie
wszystko się urwało – bo tak chciały Fata.
Krótkie było to piękne życie.
Lecz w jak mocnych wtedy tonęliśmy aromatach
i w jak wykwintne łoża się kładliśmy,
jakim upojeniom ciała oddaliśmy.

Dalekie echo tamtych dni rozkoszy,
niejasne ich odczucie do mnie przyptynęło:
musnął mnie tamten, obu nas trawiący płomień,
więc znów pewien list wziętem w dłońie
i czytałem, czytałem, aż zapadła ciemność.

Potem, w smutnym nastroju, wyszedłem na balkon,
by myśli odmienić i przynajmniej spojrzeć
przez chwilę na kochane miasto,
na ożywione ulice, ruch w sklepach.

Poeta najsubtelniejszy, wychowany na mitach, czerpiący ze spuścizny przeszłości, tajemniczy. Jego poezja więcej mówi o jego życiu niż krótka biografia.



Wychodzę i szukam w pobliżu *ahla baladi* – jednej z pamiętających czasy Kawafisa kawiarni.

Gdy o północy zniecka usłyszysz
przeciągający jakiś niewidzialny pochód –
dźwięki pięknej muzyki, rozgwar głosów –
nie rozpaczaj nad swoim nieodmiennym pechem,
nad porażkami twych dzieł, życiowych planów.



Jak ktoś od dawna gotów, ktoś mężny,
pożegnaj Aleksandrię, która odchodzi.
Powstrzymaj się zwłaszcza od szyderstw, nie mów,
że to sen, że zwiódł cię uszy;
do takich marnych pociech się nie niżaj.
Jak ktoś od dawna gotów, ktoś mężny,
kto tak powinien, skoro na takie miasto zasłużył,
zdecydowanie do swego okna podejdź
i nasłuchuj wzruszony, ale nie w nastroju
płaczliwych błagań i skarg, właściwych tchórzom,
lecz jako ostatniej radości – tych dźwięków
wytwornych instrumentów tajemniczego pochodu,
i Aleksandrię pożegnaj, którą właśnie tracisz.

Opowiadając o Marku Antoniuszu, od którego oddalało się ukochane miasto, niczym opuszczający go bogowie – samego siebie przygotowywał na ten los. I każdego z nas, którzy do Aleksandrii się wybrali lub w myślach wybierają, żeby zobaczyć promień słońca i cień, posłuchać hałasów nadmorskiego bulwaru i popatrzeć wieczorem na światła stojących na redzie okrętów.

Czy jest na świecie ktoś, kto nie miałby ulubionego autora? Kto nie zastanawia się, jak wygląda jego dom, biurko przy którym pisał, okolica? Czy można tam znaleźć ślady bohaterów literackich?

Marzena Mróz już wiele lat temu postanowiła odwiedzić domy ukochanych pisarzy. Pojechała na Litwę, żeby zobaczyć, jaki był widok z okna domu, w którym urodził się Miłosz. Jak wysoka była stodoła, w której Faulkner na farmie w Missisipi z butelką burbona pisał powieści. W jaki sposób układają się po południu promienie słońca w mieszkaniu Kawafisa w Aleksandrii. Pojechała też do Lubeki, po której wąskich uliczkach biegał mały Mann. Do Anchiano, gdzie wciąż stoi dom Leonarda da Vinci.

Nie udało się jej wejść do mieszkania Pounda w Wenecji, ale udało do domu Vargasa Llosy w Limie. Spędziła noc w łóżku, w którym umarł Wilde.

Aż w końcu dotarła do Macondo – wypranego z barw, ale pełnego motyli miasteczka Aracataca w Kolumbii, w którym Márquez stworzył od nowa świat.

Wszystkim, którzy pytają, dlaczego porzuciła domowy porządek, odpowiada za Márquezem:

„Wszystko, czym jestem, wzięło się z tamtej podróży”.



KUP TERAZ!



www.marginesy.com.pl

cena 44,30 zł

PATRONAT MEDIALNY

Business Poland
Traveller



lubimyczytać.pl

Wczas na
Wętrze

KRAKÓW
MIESIĘCZNIK
www.miesiecznik.krakow.pl

w sprzedaży także

